№ 28.

Warszawa dnia $\frac{1}{13}$ Lipca R. 1867



NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

Fryderyk Sziller.

(podług źródeł wiarogodnych).

(Dokończenie)



Wezwany do współ redakcji pisma *Der deutsche Mercur*, oddał się gorliwie powierzonéj sobie pracy, by pismo młodzieńczą i świeżą podnieść barwą, co zwłaszcza dla Wielanda wielką stało się pociechą. Dostarczył też zaraz w tym celu: *Die Gätter Grichenlands* — *Die Künstler* — i fragment historji niderlandzkiéj. W przeciągu lat 1788 i 1789 zamieścił jeszcze prac kilka prozaicznych i *Briefe über Don Carlos*. A zamieszczali wtedy także drogocenne przyczynki swoje w *Merkurym*: Gethe, Kant, Herder i Reinhold.

W r. 1787 zaprosiła go pani von Wallzugen do siebie na wieś. Przez uczucie wdzięczności i szacunku pospieszył na to wezwanie. Zatrzymawszy się w téj podróży czas jakiś w Rudolstadt, poznał tamże przyszłą małżonkę swoją, pannę von Lengefeld.

W listach, pisanych wówczas do przyjaciela, wyrażał nieraz tęsknotę za życiem rodzinnem, domowem i że czuje siebie osamotnionym ziemi wędrowcem.

Później był znowu w *Rudolstadt'*dzie i zbliżył się więcéj do rodziny Langefeld, o któréj, w listach swoich, z wielką wspominał przyjaźnią.

W Rudolstadt spotkał się także po raz pierwszy z Goethe'm. Wrażenie pod którem zostawał, przeczytawszy jego dzieła i słysząc o nim z Weimar'u, silnem było bardzo. Ujrzał go nasamprzód w licznem towarzystwie, wesołego i mówiącego wiele. Mianowicie też opowiadał dużo o swojéj podróży włoskiéj. Ta swoboda, spokój i pogoda umysłu, niemile wtedy Szillera dotknęły, mającego samowiedzę własnego niepokoju wewnętrznego i pragnień niezadowolonych.

Po tem spotkaniu napisał: „Poznawszy osobiście Goethe'go, w niczem się nie zmieniła wielka idea, jaką oddawna powziąłem o nim, ale wątpię, byśmy kiedy zbliżyli się bardzo do siebie. Cała istota jego już w samym zarodku inaczéj od mojéj stworzoną została. Świat jego, nie moim jest światem. Nasze wyobrażenia nic wspólnego nie mają. Czas późniejszy wykaże więcéj.“

I wykazał wielką a prawdziwą w następstwie przyjaźń. A Goethe nie opuścił żadnéj sposobności, by rękę podać Szillerowi, którego szanował i cenił wysoko. On także przyczynił się głównie, że gdy Eichhorn opuścił Jenę, Szillera na professora powołano. Było to, oczywiście, wielce pożądanem dla Szillera, i nadspodziewanem, bo przypuszczał że na taką posadę, potrzeba się przez lat parę przyspasabiać.

Zanim objął katedrę, oddawał się ciągle, bez przerwy, z wielkiem zamiłowaniem, studjum historycznym. Mianowicie też zajmowały go dzieje Grecji.

Rozczytywał się wiele w Homerze, ażeby jak się wyrażał: oczyścić smak własny.

W tym czasie przetłomaczył także *Ifigieniją w Aulis* i część jedną *Fenicjanek* Eurypides'a. Nieco później dopiero pojawił się *Agamemnon* Achyles'a.

W Lutym r. 1790 połączył się Szyller z panną Karoliną von Lengefeld węzłem małżeńskim.

„Teraz“ napisał do przyjaciela — wszystko w koło mnie znowu poetyczną pzybiera barwę i nowy czuję ogień w piersi. Dni moje płyną w harmonji, beznamiętnie, spokojnie a jasno. Od przyszłości spodziewam się wszystkiego. Nie wiele lat ubieży,

a żyć będę w pełnem ducha mojego użyciu, bo mam nadzieję, że młodość choć nie wróci, ale życie wieszcze wewnętrzne odda mi ją znowu,“

Wśród tego szczęścia i spokoju zapadł poeta na pierwszą chorobę, w zimie r. 1791 — która zdrowie jego na resztę nadwątliła życia. Recydyw parę było zatrważających. Musiał więc ochraniać się bardzo i odczytów publicznych zaprzestać.

Położenie finansowe byłoby się dlań stało dotkliwém bardzo, chociaż może chwilowo tylko, gdyby nie skora pomoc i nadspodziewana. Ks. Holstein—Augustenburg i hrabia Schimmelmann wyznaczyli mu pensyą po tysiąc talarów rocznie, przez lat trzy bez wszelkich warunków i zastrzeżeń, jedynie li ku poratowaniu jego nadwerężonego zdrowia. Sposób w którym to uczynili, względny i ujmujący, więcéj jeszcze zobowiązywał i rozczulał, aniżeli samaż ofiara.

Zdrowia już nie odzyskał więcéj, ale siła ducha, nie krępowana troską o chleb powszedni, zwyciężyła cierpienia ciała. Zapomniał o dolegliwości gdy go jaka poetyczna unosiła praca, albo też gdy się jakiemu poważnemu oddawał *studium*.

Mieszkając w Jenie, wszedł Szyller w bliższe stosunki z wielu uczonymi owego czasu. Zajmowała go także bardzo filozofija Kant'a. A rezultatem tego *studium*, zgłębiającego naukę myśliciela wielkiego, była rozprawa *Über Anmutch und Würde*.

W czasie tych teoretycznych badań, oddał się także z wielkiem zajęciem poetyce Arystoteles'a, uznając wielką jego twierdzeń prawdę.

„To, czego on od poety wymaga“ — wyrzekł — „poeta sam od siebie wymagać powinien, skoro tylko wie sam czego pragnie. Wypływa to z natury rzeczy.“

W roku 1791 opracował historją trzydziestoletniéj wojny do Almanachu historycznego Goeschen'a. I wtedy żywił pomysł wybrać, Gustawa Adolfa na bohatera wielkiego epicznego poematu, plan ten upadł i powziął zamiar napisania *Wallenstein'a* — który wszelako dopiero w sześć lat ukazal się póżniéj.

Rewolucja francuzka wielkie na nim zrobiła wrażenie.

W r. 1793 odbył Szyller podróż do Szwabji. Bawił czas dłuższy w Ludwigsburg'u, z rodzicami i rodzeństwem.

Za powrotem do Jeny doprowadził oddawna powzięty zamiar, zespolenia w jednem piśmie perjodycznem najznakomitszych pisarzy Niemiec, któreby wszystkie inne dotąd prześcigło, i znamienitą utworzyło całość. Nakładca się znalazł i ukazały się *Die Horen*.

Dziennik ten jest dziś niemal już rzadkością bibliograficzną. Mamy pod ręką tom siódmy z r. 1796. Pomiędzy innemi zawiera: *Benwenuto Cellini* Goethe'go — Poezje Kosegurten'a — Listy Goethe'go z podróży na górę ś. Gottharda — Poezje Halem'a — *Heracles bei Augeias* z Theokrit'a — *Die Diascuren* tegoż — *Ueber Wilhelm Meisters Schrjahne* — *Agnes von Lilien*, powieść i t. d.

Obok tego pracował Sziller ciągle nad *Wallenstein*'em, a w listach jego z r. 1794 znajduje się taki ustęp:

„Praca ta straszy i trwoży mnie, naprawdę, bo niby z dnie a każdym przekonywam się więcéj, że właściwie niczem mniéj nie jestem jak twórczym. Bo tylko, gdy chcę filozofować, duch poezji mnie nachodzi. Cóż mam uczynić? Oddaję temu przedsiewzięciu siedm, ośm miesięcy mojego życia, z niebezpieczeństwem stworzenia jakiejś nieudatnéj produkcji. Cokolwiek w dramatyczności wykonałem, nie jest tego rodzaju, by nie dodawało odwagi. We właściwem tych słów znaczeniu, wchodzę na pole świeże i nieznane mi zupełnie. W poetyczności przemieniłem się od lat czterech w innego całkiem człowieka.

Zaiste, że nie podobna być mniéj zarozumiałym. Jakaż to nauka dla młodych talentów!

W r. 1795 stworzył Sziller *Das Reich der Schatten*, elegją *Der Spaziergang* i *Die Ideale*. Utwory te były drukowane po części w *Musenalmanach*, po części w *Die Horen*. Elegją uważał poeta sam jako wielce wykończony utwór.

O *Ideałach* wyrzekł: „Poemat ten jest raczéj dźwiękiem natury, tak nazwałby go Herder, i uważać go należy jako głos bólu, bez sztuki a zarazem i bez formy. Jest on za nadto indywidualnie prawdziwym, by go jak poezją oceniać.

W tym czasie ustalał się coraz silniéj przyjazny jego z Goethe'm stosunek. O zawiązku tym pisze w listach swoich Sziller:

„Po powrocie z małéj wycieczki, zastałem list serdeczny od Goetho'go, który mi wiele okazuje zaufania. Przed sześciu tygodniami mówiliśmy dużo i szeroko udzielając sobie nawzajem głównych idej naszych, któreśmy nabyli różne przechodząc koleje. Nadspodziewanie, zupełną we wszystkiem mamy zgodność zdania, co tem większy daje interes, bo zgodność ta z różnego całkiem poglądu wynikła. Jeden drugiemu oddać może, czego mu nie dostaje‘ i też nawzajem znowu otrzymać. Odtąd jak te niepowiązane idee u Goethe'go zapuściły korzenie, uczuł potrzebę połączyć się ze mną, byśmy pospołu odbywali drogę, po któréj szedł dotąd sam jeden. Cieszę się niewymownie na tę obfitą zmianę myśli.

Jadę na dwa tygodnie do Weimar'u i zamieszkam u Goethe'go. Namawiał mnie tak długo, żem mu odmówić nie mógł. Przyrzekł mi wszelkie wygody i swobodę zupełną. To bliższe poznanie się nasze stanowcze przyniesie skutki i cieszę się bardzo za nie.

W zbliżeniu się do Goethe'go odżyła młodzieńczość w Szillerze, piękna i świeża, i podniecony został zapał dla wszelkiéj doskonałości, a odrzucenie fałszywego smaku.

Zawiązało się pomiędzy niemi współzawodnictwo i temu literatura pierwsze zawdzięcza ballady. Przyjaciele poeci rozdzielili pomiędzy siebie według upodobania przedmioty, które sobie wyszukali pospołu.

Od roku 1799 oddał się Szyller całkiem dramatycznym pracom. Zaprzestał wydawnictwa *Musenalmamanach'u* a *Die Horen* już wcześniéj wychodzić przestały.

Odtąd także przeniósł się na stałe do Wermaru mieszkanie, ażeby bliższy i dokładniejszy mieć pogląd na scenę. Panujący książe starał się pod tym względem ułatwić wszystko i wielką okazywał mu

życzliwość. Gdy Szyllera w r. 1795 powoływano na professora do *Tübingen*, przyrzekł mu książe podwojenie pensji, w razie, gdyby prac swoich literackich, z powodu choroby, zaprzestać musiał.

Prócz towarzystwa Goethe'go miał pobyt w Weimarze inne jeszcze znamienite dla Szyllera korzyści. Rozrywką dlań był wielką zawiązany tamże klub wesoły, dla którego nawet kilka towarzyskich napisał pieśni, jak to: *Die vier Weltalter i Das Lied an die Freude.* Teatr dostarczał mu przyjemności wiele, a zajmował się także kształceniem artystów.

Pracując nad *Wallestein'em* wyrzekł w jednym z listów swoich w tym czasie ,,*Walenstein* jest charakterem który, uważany czysto *realistycznie,* jedynie w całości a nigdy pojedynczo zainteresować nie zdoła. Nie ma on nic szlachetnego, nie okazuje się wielkim w żadnym czynie, za mało posiada godności i. t. p. Żywię wszelako nadzieję, że w nim przedstawię, na drodze czysto *realistycznéj*, wielki dramatyczny charakter, z istotną zasadą życia. Dawniej w postaciach *Don Carlos'a* i *Marchese'go Posa* starałem się brak prawdy piękną zastąpić idealnością. W *Walenstein'ie* sprobuję, by jedynie prawdą brak idealności (to jest: *sentymentalności*) nagrodzić. Dotąd jeszcze leży to nieszczęśliwe dzieło bezforemnie i nieskończone przedemną. Żadna z produkcyj moich dawniejszych nie ma takiego celn i formy, jakie Wallenstein dziś już posiada. Ale wiem też teraz dokładnie czego sam chcę i com wykonać powinien, a zatém w niczem sobie ułatwić nie mogę. Odjętém mi zostało wszystko, w czem mógłbym ująć przedmiot w zwykły mi sposób. Od treści niczego spodziewać się nie mogę. Więc wszystko powinno być przez formę szczęśliwą zdziałanem".

W roku 1799 wreszcie ukazał się Wallenstein: Wiadomo jakie ten wielki utwór zajmuje miejsce w literaturze niemieckiéj. W r. 1800 ukazała się *Maria Stuart* — 1801 *Die Jungfrau von Orleans*— 1803 *Die Braut von Messina* — 1804 *Wilhelm Tell.* Nadto opracował na scenę niemiecką *Macbeth'a* Szekspira, a póżniéj *Phedrę* Racine'a—i dwie komedye francuzkie.

W r. 1802 nadał mu książe z własnego popędu szlachectwo. A w r. 1804, gdy poetę zaproszono do Berlina, czyniąc mu propozycye korzystne, pensyą jego znacznie powiększył.

Szyller rozpoczął właśnie poemat dramatyczny *Der falsche Demetrius,* gdy dostał recydywy dawniejszéj choroby piersiowéj, która życiu jego kres położyła 9-go maja 1805. r.

Zostawił wdowę, dwóch synów i dwie córki.

Goethe zapłakał nad jego śmiercią i przez trzy dni w swoim zamknął się pokoju. Do przyjaciela Zeltner'a napisał wówczas: ,,Opuściła mnie życia mojego połowa". W ostatniéj chwili skonu swojego jeszcze marzył o Szyllerze.

Przyjaźń ich wielką a piękną tworzyła całość. Jeden z estetyków niemieckich wyrzekł: ,,Obadwaj zaś poeci w zespoleniu stanowią całą naturę ludzką w najpiękniejszym rozkwicie: Szyller z przyrodzenia swojego i jego warunków, jako wyzwalający się duch zbolały, jako wola i wolność. Goethe, jako plastyczny heroizm, który w naturalnych warunkach życia i zakreślonych mu granicach ustalić się pragnie — a wolność jedynie w wyzwoleniu jéj przez sztukę, przez poezyą wymódz i osiągnąć zamierza."

Fryderyk Szyller był poetą, był wieszczem nietylko dla swojéj niemieckiéj ojczyzny, ale raczéj dla całego, wielkiego ogółu, bo sercem gorącem i umysłem wyższym całą ogarniał ludzkość, niedole i ból, i wrzącem wszystko pojmował uczuciem. Zapał jego dla piękna i spotęgowanych idej zbawiennych, z młodzieńczą tlał w nim siłą, nawet i w męzkim wieku.

Tak zrozumiała go Warszawa, obchodząc w r. 1859 rocznicę jego urodzin.

O ile katolicyzm do jego poetycznéj przemawiał duszy, widzimy szczególniéj w *Maria Stuart — Die Junyfrau von Orleans — Fridalin — Der graf von Habsburg.*

Zarzucano mu panteizm w *Rezygnacyi* a poganizm w *Bogowie Grecyi,* gdy on jedynie był poetą.

George Sand wyrzekła w *Les sept cordes de la lyre*: „Mistrzu! pierwszy człowiek, który myśl powziął o Bogu, nie był ani geometrą, ani teologiem, ni też filozofem, ale poetą!"

Szyller też ani pogańskich ani też panteistycznych nie żywił nauk: on był poetą!

Podobno nikt nie potrafił językowi niemieckiemu nadać takiéj harmonji i dzwięku, jak Szyller. Przeczytajmy głośno *Die Mädchens Klage, Eine Leichten Phantasie* i. t. p.

Mamy liczne, przeliczne przekłady jege utworów. Samych *Ideałów* istnieje kilkanaście przepolszczeń.

Bo ileż to młodych talentów, unoszonych na skrzydłach poezji, nie kusiło się zaraz przy pierwszym wzlocie, by naśladować Szillera, albo też przetłumaczyć którą z jego lirycznych poezji! Jasny dowód, jak potęgą swojego słowa wieszczego, ogień natchnienia roziskrzyć potrafił.

Tłomaczyli Szillera: Mićkiewicz, Goszczyński, Gosławski, Kamieński, Bielowski, J. D. Minasowicz A Szabrański, M. Budzyński, Józef Paszkowski, Karol Brzozowski, Aleksander Tyszyński i wielu jeszcze innych, których w téj chwili nie pomnę.

Wierne a dźwięczne są liryczne przekłady J. D. Minasowicza, głównego u nas a gorącego wielbiciela Fryderyka Szillera. Gdy o nim mówił, jaśniało mu oko i zaraz w uniesienie wpadał. Szlachetna dusza piękną zrozumiała duszę i pokochała.

W czasie bardzo wystawnego obchodu jubileuszowego urodzin Szillera jawiło się w Niemczech mnóstwo różnych poematów i wierszy na cześć niezapomnianego wieszcza. Pomiędzy temi napisał E. Otto w Heidelberg'u wiersz: *Der deutsche Dichterfürst,* gdzie z pośród wszystkich poetów Niemiec najwyżéj stawia Szillera.

Bauernfeld w swojéj *Schillerfeier* wyszydza dowcipnie tych wszystkich którzy wieszczowi oddawali pokłon, gdy od lat 54 już w cichym legł grobie, a czegoby mu za życia byli odmówili. Zmarły już nie nastręczał się niczem.... a to, co kiedyś powiedział, należy dzisiaj już tylko do *Literarische Curiositaeten!*

W Lipsku przy téj jubileuszowéj uroczystości, piękną wygłoszono mowę: *Schiller als Prophet.*

Paulina z L. Wilkońska.

Korrespondencja z Paryża.

Wiadomo wszystkim, że Aldona w poemacie skreślonym mistrzowskiem piórem nieśmiertelnego wieszcza, ostatnie lata swego życia spędziła samotnie na szczycie wieży, gdzie całą jéj rozrywką była cicha piosenka i cudowny widok na lasy i pola okoliczne. W dopisku poeta uwiadamia czytelników, że pomysł do téj wielkiéj postaci powziął ze starych kronik niemieckich, gdzie jest mowa o pustelnicy, która wszedłszy na wieżę samotną, kazała zamurować drzwi wchodowe, aby bez przeszkody oddać się modlitwie i rozmyślaniu. Autor nie udzielił więcéj szczegółów o życiu téj tajemniczéj kobiety, ale go w téj mierze wyręczył professor niemiecki pan Marierwerder, który w książce przez siebie w tym czasie wydanéj, podał bardzo zajmujące szczegóły dotyczące życia Doroty z Montanu, bo tak rzeczywiście nazywała się ta kobieta, posiadająca dosyć mocy do wzgardzenia światem i zniesienia ze spokojem do śmierci, wszystkich cierpień dobrowolnego męczeństwa. Przyczyna dla któréj Aldona w poemacie odosobniła się od świata nie jest jasno wyrażona, należy się tylko domyślać że to uczyniła z tęsknoty za małżonkiem, a późniéj nie chciała opuścić wieży, aby nędza pustelnicy nie ubliżyła dawnéj piękności dziewicy.

Przyczyna zaś dla któréj Dorota z Mostonu obrała zamieszkanie samotne, wyjaśnioną jest dokładnie przez pana Marierverder.

W młodym bardzo wieku poślubioną została człowiekowi niezmiernie zepsutemu, tak pod względem wiary jak i moralności. Pożycie jednak małżonków tak niezgodnych usposobień, było szczęśliwe, świątobliwa bowiem kobieta, umiała tak wpłynąć na swego małżonka że ten zupełnie się odmienił. Począł ściśle wypełniać wszelkie obowiązki religijne, a nawet towarzyszył swéj małżonce, w częstych jéj pielgrzymkach do miejsc wsławionych cudownemi obrazami.

Wedle zapewnień autora, Dorota z Mostonu nie była fałszywą dewotką, odmawiającą bezmyślnie pacierze.

Morowe powietrze w ciągu kilku dni pozbawiło ją męża i dzieci, zadało więc cios straszliwy jéj sercu i zwróciło wszystkie jéj myśli i uczucia ku niebu. Aby jednakże zapomnieć o ziemi, starała się wybrać odpowiednie zamieszkanie, i w tym celu obok kościoła zakupiła wieżę i osiadłszy w niéj kazała wejście zamurować, zostawiając w szczycie tylko trzy otwory: jeden na spuszczanie sznura po żywność podawaną z litości, drugi do patrzenia we wnętrze kościoła, a trzeci na przestwory błękitu niebios. Pragnąc nadto koniecznie dostąpić téj doskonałości duchowéj, aby żyć tylko samą komunją, podawaną codziennie, pomimo zimna bo mrozy były silne, coraz mniéj spożywała pokarmu, tylko kawałeczek chleba i jedną łyżkę rosołu, i po czternastu miesiącach życia podobnego, zgasła nareszcie bez jęku i skargi, Współczesne kroniki zapewniają, że nie tylko za życia ale i przy jéj grobie, miały miejsce nadnaturalne zjawiska nazywane ogólnie cudami, a lud wiejski zbiegał się z okolic o mil kilkanaście. Mistrzem krzyżackim ówczesnie był w istocie Konrad Walenrod, nieznał jednak wcale pustelnicy z wieży, a ona nie miała żadnego innego wpływu na życie tego człowieka jak tylko ten, że przepowiedziała śmierć jego z naj, drobniejszemi szczegółami.

Zadziwiającą jest rzeczą jak u rozmaitych narodów, typy niewieście szanowane ogólnie różnią się pomiędzy sobą, przedstawiając nadzwyczajną różnicę w przymiotach umysłu i serca. Uwagę tę nastręczył mi nowy dramat odgrywany w Paryżu pod tytułem testament Elżbiety, a napisany przez panów Eugienjusza Nus i Alfonsa Brot.

Bohaterką tego utworu jest znana postać królowéj Wielkiéj Brytanji, uwielbianéj dotychczas w spomnieniach ludu angielskiego. Nie można jednakżeż zaprzeczyć, że ta sama postać wzbudza na stałym lądzie wprost odmienne uczucie, bo przypomina miecz spadający na szyję pięknéj i ogólnie kochanéj Maryi Stuart. Należy jednak wyznać, że Elzbieta może więcéj jak ktokolwiek inny, powinna być rozważaną podwójnie, raz jako królowa wielkiego narodu, a powtóre jako kobieta. Jako królowa bezwątpienia była wielką, bo rzuciła pierwsze podstawy przyszłéj wielkości Anglji, i z nadzwyczajną wytrwałością zmierzała ku obranemu celowi. Człowiek jednakżeż choćby największy nie przestaje być człowiekiem, baczne oko dostrzeże w każdym pewne wady, śmieszności lub dziwactwa.

Elzbieta jako kobieta, posiadała tyle wad, że te rozdzielone pomiędzy sto inszych kobiet, zdolne byłyby zatruć życie stu małżonków, i przywieźć ich do rozpaczy. Na szczęście dla narodu męzkiego, Elżbieta poślubiła do śmierci dziewictwo, chcąc się jednak podobać w r. 1563 wydała reskrypt zabraniający wszystkim malarzom malowania jéj postaci.

Po śmierci Elzbiety znaleziono trzy tysiące sukien i odpowiednią ilość inszych części ubrania.

Lord Melvil ambassador szkocki zapewnia w swych pamiętnikach, że w czasie rozmowy urzędowéj Elżbieta wypytywała się go kto był piękniejszym: ona czy Marja Stuart? Zręczny dworak odpowiedział że Elżbieta była najpiękniejszą kobietą w Anglji, a Marja w Szkocji; ale to nie zadowolniło dumnéj kobiety i rozkazała lordowi opuścić natychmiast granice Anglji.

Nie można zaprzeczyć że wymienieni autorowie wybrali za przedmiot swéj pracy postać dosyć niewdzięczną, to też potrzebowali fałszować historją, zmieniać znany charakter osób historycznych, aby wzbudzić ogólne zajęcie. Sztuka jednakżeż bezwzględnie uważana, odznacza się wielką dramatycznością.

Scena wyobrażająca ostatnie chwile królowéj, czyni nadzwyczajne wrażenie na widzach. zwłaszcza że i artystka wywiązuje się z tak trudnego zadania, z niepospolitym talentem.

K. G.

O UBIORACH



Mieliśmy sposobność w tych dniach widzieć kilka skromnych lecz pełnych gustu sukien wykonanych w magazynie panien Kuhnke, które zasługują na szczegółowy opis.

Suknia ślubna biała alpagowa, krajana w kliny, powłóczysta w tyle, miała spódniczkę gładką zupełnie z przodu; po obu stronach przedniego brytu szła od pasa w podłuż spódnicy plisa jedwabna biała, odwrócona do tyłu i odznaczająca niby osobną tunikę. Plisa ta obszyta była z jednéj strony frendzlą jedwabną fryzowaną.

Stanik gładki, śpięty na szmuklerskie guziki, obciśnięty był paskiem alpagowym z białą wypusteczką; na śpięciu paska szedł skromny bukiecik z konwalji. Biała gipiura zakończała stanik pod szyją. Rękawy wązkie, miały epolety i mankiety złożone z pliski jedwabnéj i frendzli. Wianek z konwalji, na pół przysłonięty wielkim welonem illuzjowym, stanowił ubranie na głowę. Białe atłasowe buciki, ozdobione z wierzchu rozetkami gipiurowemi, ładnie odpowiadały całości tego świeżego a tak skromnego stroju.

Druga suknia czarna mantynowa, miała spódniczkę gładką, objętą u dołu czarnym jedwabnym sznurem. Stanik gładki, śpięty na szmuklerskie guziki z lawą, obciśnięty był paskiem, naszytym drobnemi pacioreczkami. Z pod niego wychodziła baskina peplum, tworząca po bokach długie podwójne zęby, z przodu zaś i w tyle znacznie krótsze. Baskina ta zakończona była na brzegu trzema rzędami czarnych pacioreczek. Epolety i mankiety u rękawów, całe zasiane paciorkami, przybrane były frendzlą z czarnych pereł. Paletocik do tego czarny z cięższéj materji, ozdobiony samemi tylko pliskami, spięty był na piękne guziki, przerabiane lawą.

Trzecia suknia z bareżu *mozambique* szarego, w przerabiane niebieskie igiełki, miała spódniczkę powłóczystą. U dołu szła drabinka naszyta w górę wstążeczką niebieską w mocnym kolorze. Drabinka ta wysoka z przodu przeszło na ćwierć łokcia, podnosiła się w górę po bokach, z tyłu zaś zniżała się stopniowo. Nad nią szły dwie wązkie pliski niebieskie jedwabne, przytwierdzone białemi porcelanowemi pacioreczkami. Pliski te oznaczały na spódnicy dwa wielkie zęby, jeden z przodu, drugi w tyle: naszycie w drabinkę, naśladowało niby osobną spódniczkę. Stanik do tego gładki, miał oznaczony pliskami kaftaniczek podcięty niby na przodach. Niższa część stanika naszyta była wstążeczką. od góry do paska.

Nad ramieniem szły dwie pliski przytwierdzone pacioreczkami, od nich w górę rozchodziła się drabinka ze wstążeczki, w formie wachlarza. Mankiety naszyte u ręki w drabinkę, tworzyły jakby podwójny rękaw.

Czwarty kostium z gładkiego szarego moheru, składał się z niezbyt krótkiéj spódniczki i paletocika. Spódniczka spięta przez środek na rząd szmuklerskich guzików ciemniejszych od sukni, miała u dołu dwie plisy z ciemnego mocheru. Od boków spódnicy szły z każdéj strony po dwie plisy podłużne, które zawracały się w kant do tyłu tworząc schodki. Paletocik krótki, wolny, spinał się cały na guziki. Przody tworzyły niby szeroką kamizelkę, daléj szły w podłuż dwie plisy zawrócone do tyłu. Dwie takież pliski powyżéj ramienia, i dwie u ręki stanowiły ozdobę rękawów. Z tyłu spadały dwa lejce objęte pliską ciemniejszą.

Oprócz tych czterech ładnych sukien, uważaliśmy jeszcze rozmaite okrywki, ubiorki na głowę i kapelusze. Wszystko to szczegółowo opiszemy.

Okrywka czarna jedwabna (gros persan) w kształcie Talmy czyli rotondy, miała za całe ubranie cztery długie szarfy przybrane pasmanterją i gipiurą czarną.

Paletocik wolny z Lyońskiego aksamitu, przybrany był pasmanterją, i nie bardzo szeroką prawdziwą koronką Chantilly.

Ubranie na głowę, przeznaczone do oczepin, składało się z białéj gipiurowéj barby, przepinanéj białemi kwiatkami.

Drugi ubiorek czarny koronkowy przybrany był pęczkiem drobnych różyczek.

Kapelusz na wizyty czarny tiulowy zasiany pacioreczkami z lawy, miał nad rondkiem girlandkę z suchych liści, przetykanych fijołkowemi gronkami.

Drugi kapelusik szary włosiany, przybrany niebieskim powojem.

Do sukien najczęściéj zastosowane bywają takież same buciki i rękawiczki. Do szaréj buciki szare, z rozetkami z niebieskiéj wstążeczki. Do czarnéj, czarne przystrojone rozetkami z lawy. Do ciemno orzechowéj buciki tego samego koloru.

Oprócz tych sukien widzieliśmy w magazynie panien Kuhnke wiele innych letnich. Zwróciły uwagę naszą bardzo ładne bareżowe z koziéj wełny, przy-

strojone warkoczami z rulonów fularowych, w odpowiednich kolorach.

Warkocze te dają się u dołu, lub też na długiéj spódnicy, oznaczają drugą krótszą, tworząc dwa wielkie zęby, jeden z przodu, drugi w tyle, mocno podniesione po bokach. Niekiedy trzy warkocze spadają od paska na tył sukni i zakończają się u dołu kokardami. Do sukien białych lub jasnych w rzucik kolorowy, pletnie te dają się w kolorze odpowiednim do rzuciku.

Uważaliśmy śliczną białą fularową, w lilla groszek, przybraną warkoczami z gładkiego lilla fularu.

Kapelusiki ubierane i podpinane warkoczami z krepy, należą także do najmodniejszych.

Opis deseni do haftu.

Nr. Deseń na poszewkę lub batystową chustkę do nosa nad gładkim obrębem. Haft atłaskowy. W listkach i kwiatkach w kształcie tulipanów, krateczki ażurowe.

Nr. 2. Narożniki do poszewki. Deseń ciągnący się od narożnika do narożnika, daje się wązkich rozmiarów.

Nr. 3. Połowa kołnierzyka płóciennego. Deseń wyszyty czarną bawełną.

Nr. 4. Mankiet.

Nr. 5 i 6. Kołnierzyk i mankiet. Haft może bydź wykonany na płótnie z jakiego cały kołnierzyk przykrojony lub też na muślinie i przyhaftowany do płóciennego kołnierzyka, w tem miejscu jak zęby oznaczone na wzorze. Jeżeli brzeg kołnierzyka tiulowy z aplikacją muślinową, w takim razie kołnierzyk powinien bydź z muślinu.

Nr. 7. Narożnik do kołnierzyka, wyszywany ściegiem łańcuszkowym czarną bawełną. Ząbki w koło dziergane białą bawełną.

Nr. 8. Deseń na białą spódniczkę do wyszywania ściegiem łańcuszkowym.

Nr. 9. Szlak na spódniczkę do haftu atłaskowego — nad gładkim obrębem 5 centymetrów mającym szerokości.

Nr. 10. Narożnik do chustki od nosa, haftowanny w drobne pączki.

11, 12, 13. Litery do znaczenia chustek.

Nr. 14, 15, 16 i 17, Szlaczki do bielizny damskiéj.

N. 18. Stanik pod szyję ubrany aksamitem albo materją jedwabną. (Forma od N. 1 do 4 na drugiéj stronie arkusza).

N. 19. Stanik przybrany w kształcie naszyjnika.

Suknia alpagowa jasno popielata, zapięta z przodu na lawowe guziki. W górze stanika naszyte czarne jedwabne klapki objęte pasmanterją z perełkami, paciorkami i kwadracikami z lawy. Ubranie to zwane *en colier* tworzy jakby naszyjnik. Pasek naszyty odpowiednio paciorkami i tafelkami z lawy, z prawego boku spadają poniżéj paska dwie klapki jebwabne. Mankiety i epolety naszyte podobnież lawą. U szyi fryzka z walansienki.

Nr. 20. Płaszczyk podróżny od kurzu (Forma od Nr. 14 do 17).

Nr. 21. Gabrjela dla dziewczynki od 4 do 6 lat. (Forma od Nr. 18 do 23).

Nr. 22. Suknia dla dziewczynki od 2 do 3 lat. (Forma od Nr. 11 do 13).

Opis stanika gładkiego pod szyję, spódniczki białéj w kliny, stanika dla dziewczynki od 2 do 3 lat i Gabrjeli dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

Stanik gładki pod szyję.

Nr. 1. Przednia część stanika. Linje oznaczające kwadratowy wykrój stanika naszyć można aksamitką, wstążeczką lub pasmanterją.

Nr. 2. Boczek.

Nr. 3. Połowa pleców.

Nr. 4. Rękaw.

Całość na drugiéj stronie arkusza Nr. 18.

Przedstawiona forma oznaczona kreskami i punkcikami, służyć może dla osoby szczupłéj i pełniejszéj. Miara większa trzyma w połowie 19 centymetrów w pasie, 45 centy: u góry w stanie, mierząc pod pachami. Miara mniejsza 29 centy. w pasie, 37 centy. u góry w stanie.

Suknia ta z jasno brązowego wełnienego letniego wyrobu w czarny marmurek, spięta jest na guziki szmuklerskie, przerabiane lawą. Pasek jedwabny ciemno-brązowy, zamiast sprzączki, naszytą ma klapkę aksamitną brązową z medaljonami szmuklerskiemi, od których spadają dwa jedwabne kwasty. Naramienniki jedwabne, naszyte również medaljonami szmuklerskiemi i kwaścikami. Mankiety odpowiednie. Kołnierzyk płócienny obszyty koroneczką kluni.

Spódniczka gładka w kliny.

Nr. 5. Przednia część.

Nr. 6. Bok do przodu.

Nr. 7. Bok do tyłu.

Nr. 8 Połowa tyłu.

Nr. 9 i 10. Całość spódniczki.

Spódnica ta zupełnie gładka krajana w kliny, służyć może do krótkich spacerowycn sukien czyli kostiumów, jak i do pokojowéj sukni powłóczystéj.

Z wyjątkiem przedniego brytu, wszyskie suknie krają się z jednéj tylko strony skośno przez co druga jest prosta, ścięta tylko od saméj góry na jeden lub trzy centy. ażeby suknia rozszerzajac się do dołu, lepiej ku ziemi spływała. Brzegi materjału stanowią prostą stronę brytów. Podług teraźniejszego rozmiaru materjałów, które wszystkie prawie trzymają 70 do 80 centy. szerokości, można po dwa bryty z jednéj szerokości krajać, uważa-

jąc na to, żeby mieć kliniaste na obiedwie strony spódnicy. Jeżeli materjał wązki, dla otrzymania wymagalnego obwodu, dodają się z obydwóch stron przedniego bryta po dwa małe kliny od dołu; a lepiéj jeszcze użyć dwa bryty, żeby kliników nie było, i na środkowéj zakładzie przybrać guzikami.

Umieszczony w dzisiejszym dodatku krój spódnicy, przedstawia część górną w naturalnych rozmiarach, a każda część tak dokładnie wyrysowana, że bez trudności oznaczone linijki poprowadzić się dadzą daléj w tym samym kierunku, uważając na to aby strona formy z napisem „*nitki materjału w prostem położeniu*“ wypadła na brzeg materjału.

Wymagalną długość téj spacerowéj spódnicy, (skrajanéj na osobę mniéj więcéj średniego wzrostu) oznaczyliśmy ilością centy. . W potrzebie można skrócić lub podłużyć, tak jednak żeby wszystkie części były równe. Uważając na stosunek jaki podajemy, można także skrajać suknię pokojową z trenem. Trzeba wziąść miarę od stanika do dołu podług osoby, jeżeli np. Nr. 5 *długość przodu* wynosi *100* centy. to Nr. 6 *bok do części przedniéj*, mierząc na stronie skośnéj powinien liczyć *115*; Nr. 7 *bok do tyłu*, strona ukośna 130 centy. Nr. 8 *połowa tyłu* 135 centy. a wszystkie proste strony zastosowane w krajaniu do miary. Żeby ułatwić czytelniczkom naszym, obcyrklowanie dołu spódnicy, umyślnie oznaczyliśmy linijką obwód górny, do którego dół zupełnie zastosowanym być winien. Na połączeniu tych osobnych części, zależy głównie, aby dobrze spódnica leżała; trzeba brzegi skośne, zeszywać z prostemi, bryt przedni z obydwóch stron jest skośnie ścięty, a w samym tyle zszywają się dwie skośne strony. Szew ten tylny, podszyć należy listewką od góry do dołu, inne mocno rozprasować skośne strony obrzucając nitką dla trwałości.

Dół spódnicy podszywa się sztywną muślinową listwą na 40 centy. szeroką, która dodaje sztywności trénowi i ładnie dozwala układać. Nie dawno zaczęto nawet z tyłu w listwie dawać w pewnych odstępach cieniutkie i miękkie fiszbinki, które spadek trenu dobrze podtrzymują.

Rozporek wypada na lewéj, między przednim brytem i przednim bokiem, do którego u prostéj strony daje się ukryta listewka, żeby nie otwierał się, a brzeg skośny przedniego bryta starannie podszywa się skosem. Górny obwód spódnicy wszywa się nareszcie w biały pasek pokryty materjałem sukni i zapięty na haftki.

Sukienka dla dziewczynki od 2 do 3 lat.

Nr, 11. Przednia część stanika.
Nr. 12. Połowa pleców.
Nr. 13. Rękaw.
Całść na stronie deseni do haftu pod Nr. 22.

Sukienka z białéj elpagi przybrana jest wstążeczką niebieską 2 centy. szeroką i białą gipiurową wstawką. Spódniczka 200 centy. mająca odwodu, 41 centy. długości, podszywa się sztywnym muślinem, zdobi wstążeczkę w guście tuniki na 6 centy. od brzegu sukienki, zostawiając na przednim brycie wolny odstęp na 30 cent., na ostatku układa się w kontrafałdy i przyszywa do stanika.

Stanik przykrojony z alpagi i perkalowéj podszewki zeszywa się za igłą zwykłym sposobem i urządza z tyłu do zapinania na guziki. Wykrój czworograniasty stanika garnirowany u góry wąziuchną falbaneczką karbowaną albo koroneczką gipiurową. Rękawki otwarte na ramieniu objęte wstążeczką z pod któréj wychodzi falbaneczka. Pasek biały alpagowy $2^1/_2$ centy. szeroki pokryty wstążeczką i wstawką gipiurową, na sztywnéj podszewce, objęty w koło wypustką zakończony jest z tyłu rozetą i haftkami do zapięcia.

Buciki z błękitnéj pruneli francuzkiéj.

Płaszczyk od kurzu.

Nr. 14. Połowa płaszcza.
Nr. 15. Połowa tylnéj części kaptura.
Nr. 16. Druga połowa kaptura.
Nr. 17. Połowa klapki do otworu wyjmowania ręki.

Całość Nr. 20 na stronie deseni do haftu. W Ameryce i w Anglij powszechnie teraz używane są płaszcze takie w pódróży od kurzu i deszczu, wyrabiane z wyrobu popielatego nieprzemakającego pod nazwiskiem: *waterproof*. Długość jego dochodzi do obręba sukni, spinany cały na guziki rogowe, z takimże samym kapturem.

Dla braku miejsca dajemy tylko karczek do płaszcza, nadmieniając przytem że długość przodu wynosi 124 centy. tyłu 134 centy. skracając lub przydłużając w miarę potrzeby. Po zrównaniu na około płaszczyka założyć należy u dołu 2 centy. szeroki obrębek, przody podszyć 4 centy. szeroką listewką do umieszczenia guzików i zrobienia dziurek i połączyć z kapturkiem, który się u góry marszczy stosownie do objętości szyi.

Otwory do wyjmowania rąk 25 centy. długie, pokrywają się klapką uszytą z dubeltowego materjału, uważając aby zaokrąglona część przypadała do ręki, zamiast wyrobu *waterproof* użyć także można popielatego dryliszku albo lekkiego kortu wełnianego.

Gabrjela dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

Nr. 18. Przednia część.
Nr. 19. Boczek przedni.
Nr. 20. Boczek środkowy.
Nr. 21. Boczek do pleców.
Nr. 22. Połowa pleców.
Nr. 23. Rękaw.
Całość na stronie deseni do haftu pod Nr. 21.

Sukienka w formie Gabrjeli z szafirowéj popeliny letniéj, spięta na czarne lawowe guziki przyozdobiona jest na wszystkich szwach, ramiączkach i mankietach po trzy razy czarną aksamitką, zakończoną jedwabnemi czarnemi kwaścikami Stanik podszewkuje się płótnem albo perkalem bez fiszbinów.

Do Gabrjeli pikowéj zamiast aksamitki, używana jest biała pletnia bawełniana i takież grelotki.

Buciki prunelowe czarne. Kołnierzyk płócienny.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

(Dalszy ciąg.)

Do kwiatu anemonowego, bardzo jest podobny kwiat *adonisa*, tak powszechnie przezwany przez Matthiola, botanika włoskiego, z XVI wieku. Niektórzy utrzymują że i ten kwiat powstał z owéj krwi Adonisowéj, inni zaś temu zaprzeczają przyznając to jedynie anemonom.

Adonis (Adonide printannière, d'été et d'automne, Adonis vernalis, aestivalis i auctumnalis), przezwany po polsku dla swéj miłéj powierzchowności *miłkiem*, jest rośliną krajową, trafiającą się niekiedy dziko po polach gliniastych lub marglistych. Jedne adonisy czyli miłki mają kwiaty duże, żółte, i ukazują się na wiosnę, inne znów mają kwiaty mniejsze, ale czerwone, i takie postrzegać można w lecie lub pod jesień. Właściwie są to trzy gatunki miłków, a wszystkie mimo swego wdzięku, podobnie jak anemony, mają kwiaty nietrwałe, prędko opadające, symbolizują przeto krótko-trwałą piękność.

2. *Barwinek* (Pervenche, Vinca minor), ów symbol szczęścia i wesela, którego rzadko gdzie brakuje w wianku panny młodéj u naszego ludu, jest krajową rośliną, bardzo miłéj i wesołéj powierzchowności, trwającą przez całą zimę wraz z liśćmi pod śniegiem. Jednostajna wielkość listków téj roślinki, ich gładkość, połysk, żywa zieloność i trwałość nawet przez zimę, czyni barwinek bardzo pożądanym, kiedy chcemy mieć coś zielonego, np. w porze późnéj jesieni, w zimie lub bardzo wczas na wiosnę. Kwitnie zaś barwinek w maju, również pięknymi, niebieskimi kwiatkami, a łodyżka jego, rozłażąc się daleko po ziemi i zakorzeniając, jest przez to długą, i na wieńce bardzo dogodną.

W piosnkach ludu naszego, barwinek bywa bardzo często wspominany i jedna z nich wylicza, co ma wianek ślubny składać:

W dolinę panienki w dolinę,
Po czerwoną kalinę *)
Po krzewisty barwinek,
Młodéj dziewczynie na wianek.

I z ruteczki
Dwa kwiateczki.

---

*) Zapewne po kalinę już z owocem, bo kwiat jéj jest biały, a liście pięknie zielone, pod jesień tylko cokolwiek czerwieniejące.

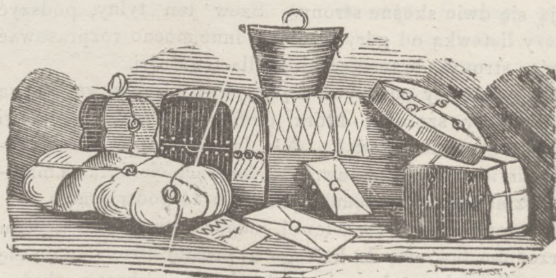
Z barwinka plotą także dziewczęta w wilją Św. Jana, i na wodę puszczają; a w ogóle, piękną tę roślinkę uważają jako odpędzającą wszelkie czary i złego ducha, i dla tego ją często na drzwiach wieszają. W ogródkach wiejskich barwinek nie rzadko pokrywa grządki, z których wyrastają dopiero nogietki, tojady lub boże drzewko.

3. *Bluszcz* (Lierre, Hedera Helix) nasz leśny, o pięknych, kształtnych, ciemno-zielonych, ciągle trwałych i z pewnym rysunkiem na swéj powierzchni liściach, jest symbolem życia, miłości małżeńskiéj i przyjaźni.

U starożytnych Greków, przy obrządku ślubnym, kapłan doręczał zaraz na wstępie do świątyni, gałązkę bluszczu, parze zaślubić się mającéj, a to na znak życzenia, aby teraz i zawsze, miłość téj pary, była jak bluszcz żywą i zieloną. Ponieważ bluszcz jest dosyć do winorośli podobny, ztąd zapewne poszło, że Dionyza czyli Bachusa, bożka wina, często widzieć można przepasanego i ozdobionego bluszczem, zamiast winną rośliną.

Pierwsi zaś chrześcijanie, opinali zawsze bluszczem trumny zmarłych swych braci i ich groby, a to nie dla tego by bluszcz był godłem śmierci, ale przeciwnie, oznaką nowego życia w Chrystusie.

(d. c. n.)



Pani B. Bud. Szal czarny w dobrym gatunku kosztuje rs. 15.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do numeru tego dołączony jest arkusz oznaczony Nr. 194 z deseniami do haftu oraz formami na stanik gładki pod szyję, spódnicy w kliny, stanika dla dziewczynki od 2 do 3 lat, płaszcza od kurzu i gabrjeli dla dziewczynki od 4 do 6 lat.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)

Dodatek do Nr. 28 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 1 (13) Lipca 1867 r.

DANIEL ROCK

POWIEŚĆ,

Z FRANCUZKIEGO

PRZEZ

ERKMANA-CHATRIANA.

(Dalszy ciąg).



Nie mogę jeszcze powiedzieć — gotuję wszystkim prawdziwą niespodziankę

Benedum znał niezłomny charakter towarzysza: od pamiętnej przygody na radzie municypalnéj, postanowił unikać z nim wszelkiego sporu. Jakkolwiek pomysł Daniela, śmiesznym a nawet dziwacznym był w jego oczach, nie chcąc mącić ogólnéj harmonji, pochylił głowę, i przyrzekł zadosyć uczynić woli starca.

Rozmawiano o wielu innych rzeczach: o trudnościach napotykanych przy budowie drogi żelaznéj, o spanoszeniu się Eljasza Blum, słowem o tem wszystkiem co od pięciu lat zaszło w Felzenburgu. Nie bardzo to jednak zajmowało starego Daniela, który od czasu do czasu szeroko otwierał gębę i poziewał: jedyną czuł pociechę poglądając na dzieci. Około dziesiątéj powstał z miejsca.

— Trzeba ci wiedzieć — rzekł do młynarza, że od onegdaj nie zmrużyłem powiek. Chłopcom też moim oczy kleją się do snu... czuję się znużony. Innego dnia odwiedź nas znowu. No Tereso, uściskaj mnie... Ludwik zapal latarkę... i ruszajcie do domu... Ostrożnie tylko żeby kto nie stoczył się na dół — przy wyjściu z baszty... jest tam jedno miejsce niebezpieczne...

Wszyscy powstali, a starzec długo stał u drzwi baszty i wiódł oczyma za latarką, połyskującą w ciemnych zaroślach. Powrócił nakoniec, i zawołał na synów.

— No chłopcy — idźcie spać, widzę żeście strudzeni. Ja pomówię jeszcze chwilę z Fuldradą... za godzinę lub dwie przyjdę do was.

Młodzi wyszli. Fuldrada przyrzuciła suchych gałęzi do ognia; Daniel zasiadł na przeciw niéj na szerokiéj płycie kamiennéj.

XIX.

Tegoż dnia, cała wieś oczekiwała powrotu Daniela Rock z synami, aby nakarmić oczy ich upokorzeniem.

— Jakież też nastroją miny? mówili jedni do drugich — szczególniéj stary taki zawsze dumny i przewodzący, on co przed nikim nie ustąpił nigdy kroku, co z góry na każdego poglądał, przekonony że on tylko ma rozum. Nauczono go tam pewnie, że gdzie niemożna przeskoczyć tam trzeba podleść.

Te słowa krążyły z ust do ust; wszyscy we wsi stali w oknach, lub przed progami chat swoich, oczekując przybycia starego kowala.

Mer Zacharjasz Piper więcéj od drugich cieszył się nadzieją tego widoku; postanowił nawet skinąć głową i zapytać Daniela o zdrowie.

Co zaś do żyda Eljasza, ten mimo obojętności dla rodzaju ludzkiego, szanował zawsze ojca Rock — widział on w tym człowieku żywe uosobienie idei przeciwnych swoim— czekał też niecierpliwie na jego powrót, rad widzieć jakim się Daniel pokaże w poniżeniu.

„Będziesz on zawsze takim jak dawniéj? czyż nie spuści nosa na kwintę? czyż stanie się jak inni po zwycięztwie: złamany, trwożliwy, niespokojny?

Wszystko to podniecało wielką ciekawość w Eljaszu.

Dzień przeszedł — a Daniel nie pojawił się we wsi. O siódméj wieczorem Benedum Ludwik i Teresa, udali się na górę zamkową, zrozumiano ztąd że stary kowal, nie rad był wystawiać się na urąganie całego Felzenburga, że stary jastrząb wolał raczéj obrać sobie gniazdo w pośród zwalisk.

Wieś doznała przykrego zawodu.

— Nie śmiał spojrzyć nam w oczy — drapieżnik! wołano na wszystkie strony. Jak ptak nocny, wolał się ukryć w pustkach.

Mer Zacharjasz boleśniéj od drugich uczuł zawód. Włożył przecież z umysłu frak czarny i białą chustkę aby jak mówił—uczcić tryumfalny powrót bohatera!

Wszyscy w złym humorze rozeszli się do domów.

— Ci ludzie muszą przecież zstąpić na doliny, mówił nauczyciel Eberhard; bądź co bądź zobaczym ich jutro lub pojutrze, bo tam wyżyć im nie podobna.

Felzenburg przybrał już wtedy postać i obyczaje miasteczka, zabawiał się plotkami. Miejscem zebrania był szynk starego Kalba, lub też kawiarnia Schwartza, oberża bowiem pod Łabędziem, zamieniła się w kawiarnię: cały dół przebudowany stanowił jedna wielką salę, z bilardem w pośrodku przybranym w kinkiety. W około na ścianach pomalowa-

nych grynszpanem, jeziora niebieskiem indygo, miały przedstawiać krajobrazy Szwajcarji.

Tam przy małych stolikach grywano w ekartę. Zamiast trójgraniastych kapeluszów, noszono czarne rury; zamiast białego wina alzackiego wszyscy pili absint albo biszof, kumoszki wieczorem, zamiast przychodzić po mężów z miotłą w ręku, siadały spokojnie obok nich, i piły czokoladę lub wodę z cukrem. Nowe obyczaje utrzymywały zgodę w stadłach: cywilizacja postąpiła krok naprzód.

Wszyscy też spodziewali się lada dzień zabawić kosztem Rocków.

Im dłużéj będą się ociągać, mówił Schwartz, tym lepiéj z nich szydzić będziemy. Ale czas wszystko zatrze!

Niechno tylko stary przychodzi do kawiarni na absint, nie wspomnę mu nigdy o przygodzie, bo jakby wpadł w gniew, gotówby mi porozbijać źwierciadła kinkiety i szklanki... a ja nie żaden zawadjaka, przedewszystkiem lubię handel i pokój.

Gdy widziano nazajutrz z rana, jak Frantz Benedum z Ludwikiem otwierają drzwi kuźni, jak ładują na osły węgiel —młoty, obcęgi i kowadła, jak z tem wszystkiem zwracają się pod górę, cała wieś nie mogła wyjść z podziwienia.

— Poszaleli chyba, powtarzano dokoła; kto słyszał zakładać kuźnię na skale? Więzienie przewróciło im w głowie. Stary Rock, zawsze robił wszystko na opak, a teraz zwarjował do reszty.

Przez trzy dni, mówiono tylko o dziwacznem postanowieniu Daniela: jedni śmieli się, drudzy ruszali ramionami, Eljasz milczał, jakby przeczuwając coś złego; Zacharjasz Piper nie dowierzał także tym ludziom. Uważano, że mer wychodząc z domu, wychylał zawsze wprzódy głowę przez okno i poglądał na wszystkie strony, snać w obawie niemiłego spotkania.

Ale nie natem koniec: lud Felzenburgski, dziwił się coraz bardziéj, i słuszne miał do tego powody.

Co wieczór bowiem, jasny płomień dobywał się przez drzwi i okna staréj baszty, a huk młotów rozlegał się po skałach. Zdumienie powszechne doszło najwyższego stopnia.

O godzinie dziesiątéj kiedy gaszono ognie w chatach, kiedy cisza nocna, zalegała wieś całą, straszny łomot powstawał w pośród zwalisk. Olbrzymie młoty z całą siłą uderzały w kowadło.

Na ten huk zbudzone psy we wsi, szczekały i wyły żałośnie. Trwało to zazwyczaj do rana.

Nikt nie był wstanie zmrużyć oczu, a choć nawet zasnął na chwilę, budził się przerażony.

— Krystyno — wołał Kalba na żonę.

— Cóż takiego?

— Czy słyszysz, co u licha robią na górze?

— Alboż ja wiem.

— Słyszysz jak wyje nasz kruk?

— Słyszę.

I wszystkie psy we wsi łączyły się w jeden chór, skowycząc i skomląc przeraźliwie. Koguty piały na całe gardło — młoty przybijały do taktu, téj piekielnéj muzyce. Nikt nie spał — rozpacz ogarniała wieś całą.

— Stary chce nas wszystkich zamęczyć, zganiając nam sen z powiek, ha! niegodziwy łotr!—mówili jedni do drugich.

Niektórzy poszli do pana Zacharjasza, domagając się żeby zabronił Rockom, kuć żelazo po nocach. Pan Zacharjasz niespokojny, udał się po radę do podprefekta. Odpowiedziano mu, że zwaliska zamku leżą dalego od wsi, trudno więc zaradzić temu. Zresztą żadne prawo nie broni kowalom kuć w nocy, potrzeba zostawić im wszelką wolność.

Wieś cała zachodziła w głowę. Co wieczór tłum ludu wybiegał z domów i poglądał na płomień buchający przez okna i strzelnice sześciopiętrewéj baszty. Czerwona łuna ogarniała skały i zwaliska.

Ci którzy zamyślali szydzić ze starego Rocka, zaprzestali już żartów.

— Dobrze by było mówili między sobą, żeby pan mer wysłał do tych ludzi deputacją od rady municypalnéj — z prośbą aby wrócili do wsi, i z zapewnieniem, że ktokolwiek śmiałby z nich szydzić, lub patrzeć na nich krzywem okiem, zostanie surowo ukarany. To by ich uspokoiło, i moglibyśmy spać jak dawniéj. Oj dobrzeż to było we wsi przed powrotem tych opętańców.

Tak utyskiwali mieszkańcy Felzenburga. Pan Zacharjasz ze swéj strony, nie zasypiał gruszek w popiele.

Woźny Hanz widząc go razu jednego dziwnie zafrasowanym, i zgadując że przemyśla o Rockach, zbliżył się do niego nieśmiało.

— Panie merze — zagadnął — wiadomo panu że od sześciu lat rada municypalna przyrzeka mi powiększyć płacę: tymczasem rzecz idzie w odwłokę z roku na rok: nikt przecież tak jak ja nie bije w bęben i nie krzyczy tak głośno — jeden tylko woźny z Falzburga: mógłby iść zemną w parze — nim przekrzyczał gardło nieborak..

— Zapewne rzekł mer... ale...

— Posłuchaj mnie pan do końca — mam panu coś powiedzieć. Cała wieś strapiona z przyczyny tych niegodziwych Rocków, otóż gdyby mi pan wyjednał sto franków nad to co teraz biorę, gotówbym poświęcić się dla dobra gminy. — Zajrzałbym do środka baszty i powiedziałbym panu co się tam dzieje.

— Tybyś to zrobił? —zawołał Zacharjasz — to szlachetnie z twéj strony mój Hanz.

— Tak, to szlachetnie panie merze, bo narażam się na śmierć. Rockowie gotowi mnie zabić, jak dostrzegą że ich wypatruję. Zrobię to jednak, jeśli mi gmina postąpi sto franków.

— Będziesz je miał Hanz — odrzekł Zacharjasz, przyrzekam ci w imieniu gminy.

— A więc w Imię Boże, poświęcam się dla żony i dzieci. Prędzej czy późniéj raz człeku umierać.... czy od młota czy od dychawicy jak woźny z Felzburga, na jedno to wyjdzie podobno.

Tak mówił nieustraszony Hanz — i tegoż wieczoru między dziesiątą a jedenastą, odebrawszy zlecenia od mera, który czekał go w kancelarji, aby spisać protokół, wyruszył pod górę ku zwaliskom. Serce biło mu gwałtownie, i przykre myśli niepokoiły go w ciągu drogi, ale czegoż człowiek nie zrobi dla miłego grosza? zwłaszcza jeżeli lubi piołunówkę;

a Hanz lubił piołunówkę, był to w jego oczach najpiękniejszy wyrób cywilizacji.

Szedł zatem pomału pod górę. Noc była czarna, tylko w pośród grubéj ciemności, połyskiwał jaskrawo płomień przez okna i strzelnice starej baszty; huk młotów rozlegał się po skałach; w dolinie psy wyły żałośnie, w miarę jak Hanz wdzierał się na górę młoty uderzały coraz głośniej, chłód coraz bardziej przenikał go do kości, ztąd też coraz większa ogarniała go trwoga. Przyszło mu do głowy usiąść na pół drogi w zaroślach, wymyślić jaką niestworzoną historją o kuźni, i opowiedzieć ją merowi za powrotem. Ale napróżno smażył sobie mózg, nic mu się jakoś nie kleiło; nie mógł sobie wyobrazić w żaden sposób, co kuje na górze stary Daniel z synami. Zresztą obawiał się nie bez powodu, że gdyby kiedyś miało się wydać kłamstwo, gmina wypędziłaby go niewątpliwie pomimo donośnego głosu.

Żałował też serdecznie, iż się tak daleko zapędził; nie było jednak rady, wypadało raczéj stawić wszystko na kartę, niż przyznać się do strachu panu Zacharjaszowi. W takim usposobieniu umysłu Hanz przybył do podnóża skały.

Huk młotów rozlegał się bezustannie... nadstawił ucha — westchnął, i opłakiwał gorżko zuchwały pomysł.

— Kto widział takiego głupca jak ja? mówił sam do siebie. Gdyby nie te cztery kieliszki piołunówki, którem dziś rano wypił, czyżbym obiecywał merowi, że się tu wdrapię za sto franków? Trzeba było żądać z jakie pięćset, albo nawet i z tysiąc — nie byłby mi ich dał... a ja leżałbym spokojnie w łóżku o téj porze. Ci Rockowie zbili na kwaśne jabłko tylu inżynierów i robotników... teraz powrócili oto z więzienia — bardziéj jeszcze rozsrożeni jak przedtem: Niech mnie który zobaczy, przepadłem z kretesem jak mi Bóg miły.

I stanęła mu w myśli straszna postać Daniela i nogi jakby mu wrosły w ziemię.

Oprócz tego przypomniał sobie starą Fuldradę, nie wątpił że stara czarownica stoi na straży.

Wszystko w oczach jego przedstawiało się w tak okropnych barwach, że po raz drugi, zamierzył wymyśleć jakąś bajkę, i co żywo powrócić do wsi.

— Wdarłem się po same gruzy — mówił do siebie — któżby to drugi zrobił? Radbym widzieć tu pana mera; pewien jestem żeby pierwszy powiedział: „idźmy ztąd precz!“ oj drapałby jak oparzony... Jakiż tu straszny łoskot!

W kwandrans jednak oswoił się trochę z jednostajnemi uderzeniami młotów.

— Ponieważ kują tak zawzięcie — pomyślał — muszą mieć plecy odwrócone... i nic po zasobą nie zobaczą... i nic też nie posłyszą przy tym piekielnym huku. Wrazie nawet gdyby mnie spostrzegli, dalejże nogi za pas, i nie oprę się aż w wiosce.

Tak rzeczy obmyśliwszy, wdarł się steczką wiodącą na wierzchołek skały. Nagle młoty przestały bić w kowadło.

— Odkryli mnie — pomyślał drżąc jak liść.

W tym księżyc wybiegl z po za chmury, i oświecił puste zarośla. Cisza panowała głęboka — listek nawet nie ruszył się na drzewie.

Hanz czuł jakby mu kamień spadł z piersi. Zachwycił powietrza, cicho przypełzał pod basztę. Odważył się nawet wejść na stos powalonych kamieni, i spojrzyć przez strzelnicę.

Gęste krzaki pokrywały ten otwór. Niepodobna było dostrzedz Hanza, on tymczasem widział wszystko jak w studni; baszta bowiem zawalona w koło gruzami, sięgała na piętnaście stóp głębiéj.

A oto co widział Hanz w staréj baszcie.

W samym środku stało kowadło, oparte na wielkim pniu dębowym; po lewéj ręce ulepiono piec z gliny, nad nim zawieszony był miech na dwóch sztabach żelaznych, osadzonych w murze. Czerwony płomień buchający z ogniska, oswiecał starą, która siedziała na pieńku, między dwoma kozami. Ojciec Rock i dwaj jego synowie, z odwiniętemi rękawami od koszuli — boso — oblani potem, stali przy kowadle trzymając w ręku wielkie młoty.

Na kamiennéj podłodze, leżały dwa ogromne oszczepy żelazne, długie na dwadzieścia stóp, — grube, mocne, hartowne, oszczepy jakich używali olbrzymi średnich wieków.

Wspaniały to był widok.

W chwili gdy Hanz patrzał przez okna, stary kowal uśmiechał się zadowolony.

— No i cóż Fuldrado zawołał — widzisz że robota idzie.

— Tak idzie — odrzekła stara podnosząc się pomału.

I przystąpiła do oszczepu, chciała go unieść z ziemi; przyłożyła do niego z siłą drobne ręce, aż żyły wystąpiły jéj na czole i na szyi — lecz oszczep nie poruszył się z miejsca.. Kowale spoglądali z uśmiechem.

— I cóż myślisz o nich Fuldrado?

— Ciężkie, bardzo ciężkie — Danielu, kto zdoła je udźwignąć?

Wtedy starzec, nie rzekłszy słowa, postąpił parę kroków, podjął z ziemi oszczep jedną ręką podniósł go w górę jak piórko i dumnie wywijał nim nad głową.

Pysznie wyglądał starzec w téj postawie — Krystjan, Kacper poglądali na ojca zdumieni jego siłą.

— Danielu! zawołała Fuldrata, piękny jesteś jak Hugon Jednooki.

Starzec z okiem rozpromienionem, rzucił oszczep na podłogę kamienną, brzęk głośny rozległ się po zwaliskach.

Hanz zadrżał od stóp do głowy.

— No! a teraz—rzekł Daniel, weźmy się co tchu do trzeciego — mamy już dwa wyborne, nie zegną się jak Bóg Bogiem.

— Tak, nie zegną się, powtórzyła stara.

Hanz tymczasem zobaczywszy co chciał widzieć, zszedł ostrożnie ze stosu powalonych złomów, i pomknął jak zając przez zarośla, spoglądając niekiedy po za siebie.

Huk młotów rozpoczął się na nowo.

Około drugiéj zrana, woźny Hanz wszedł do pokoju mera, i opowiedział mu to co widział.

Pan Zacharjasz słuchał go zdumiony.

— Cóż oni myślą robić z temi oszczepami? zapytał.

— Albo ja wiem panie merze, aż strach przejmuje gdy człek pomyśli o nich.

— Trzeba rzeczy dobrze rozważyć mój Hanz... Te łotry gotowi obmyślić nową zbrodnię. Oszczepy długie na dwadzieścia stóp! to chyba do wysadzania drzwi poczciwym ludziom kiedy śpią,.. ha! kto wie, może chcą się obwarować w starym zamku... rzecz zabroniona prawem... Rozpoznamy tę sprawę. Niebezpieczeństwo na jakie się narażałeś, podniosło cię w mojem przekonaniu... Drżę o ciebie! Jutro zwołam radę, naradziemy się razem.

— Dobrze panie merze a niezapomnij pan moich stu franków.

— Bądź spokojny Hanz, masz prawo do wdzięczności publicznéj... Otrzymasz nagrodę, już ja w tem.

Tak odkrytą została praca Rocków w ich ukryciu, praca tajemnicza, która usprawiedliwiała obawy pana Zacharjasza, i słusznemi czyniła skargi gminy.

Trzeba przyznać, że przypuszczenia mera nie były bezzasadne mogły więc spowodować urzędowe śledztwo. Te oszczepy długie na dwadzieścia stóp, mogły być zaczepnym orężem.

XX.

Nazajutrz o dziewiątéj rano, mer Zacharjasz, zabierał się do zwołania rady municypalnéj; kiedy odebrał od pana podprefekta z Falzburga zawiadomienie o bliskiem otwarciu drogi żelaznéj z poleceniem, żeby wezwał ludność okoliczną, na ową uroczystość świadczącą o tryumfie cywilizacji.

W post-scriptum, pan podprefekt dodał mimochodem, iż gorliwi urzędnicy, mogą liczyć na zasłużone względy.

Zapał niewymowny ogarnął pana Zacharjasza, lica jego zarumieniły się od radości. Przypomniał sobie miejsce sędziego pokoju i zrozumiał, że nadeszła chwila, która urzeczywistni najmilsze jego nadzieje.

Przepomniawszy zatem Rocka, Hanza, słowem wszystkiego co budziło słusznie jego obawę w przedmiocie staréj baszty, pożyczył parę koni od Schwartza i objeżdżał góralskie osady, odwiedzając po kolei merów, adjunktów, radców municypalnych, proboszczów, wreszcie całą starszyznę wiejską, zapowiadając im nową erę, dla handlu i przemysłu i wzywając wszystkich do Felzenburga na tryumfalny obchód nowych idei.

Do miejsc ustronnych jak Hirszchland, Tomfesfel Sehekenpesch, gdzie czas nie pozwolił mu udać się osobiście, porozsyłał umyślnych gońców. Słowem nie przepomniał o niczem, i podczas tego objazdu, obmyślił mowę, z którą miał wystapić, jako pierwszy urzędnik miejscowy.

To arcydzieło oratorskiej sztuki zaczynało się od tych słów:

„Kiedy Noe odebrał od Przedwiecznego, rozkaz zbudowania arki, szerokiéj na stóp trzysta i umieszczenia w niéj po parze zwierząt wszelkiego rodzaju, mieszkańcy kraju wielce się tem zdumieli. Trudno było wyobrazić sobie, jakim sposobem taki wielki korab żeglować będzie po piaskach i skałach, choćby nawet przy najpomyślniejszym wietrze. Ludzie najwyższą nawet obdarzeni intelligencją, nie mogli zrozumieć tak zuchwałego przedsięwzięcia, gdy szczęściem dla olbrzymiéj nawy, rozpoczęły się ulewne deszcze, i morze wyległo z brzegów swoich aż pod wierzchołek Araratu.

Po ośmiodniowéj przejażdżce, pan mer powrócił do wsi. W następną niedzielę, miało nastąpić otwarcie kolei żelaznéj.

Trzeba wiedzieć, że w tym dniu wszystkie władze rządowe z gór i doliny, zebrały się w Felzenburgu; w śród tylu gwiazd wyższego rzędu — zgasł zupełnie pan Zacharjasz Piper.

Budowniczy Lang z cieślą Alrykiem, i kilku innemi artystami, zbudowali z drzewa i liści łuk tryumfalny, wysoki na pięćdziesiąt stóp, pod którym miał przejść pierwszy pociąg.

Wyobraźmy sobie wspaniały obraz, oświetlony najpiękniejszym promieniem słońca, wyobraźmy sobie merów i radców municypalnych w czerwonych kamizelach, tak licznych jak gwiazdy na widnokręgu,... wyobraźmy sobie w koło nich wysoką estradę w kształcie ołtarza, a na niéj, urzędników cywilnych, i wojskowe władze z Falzburga; poniżéj zaś estrady żony tych panów w kapeluszach, sukniach jedwabnych, daléj zaś tłum wieśniaków, niewiast i dzieci zalegający jak fala całą dolinę i okoliczne wzgórza; a nad tem wszystkiem wspaniały łańcuch Wogezów, pokrytych jodłami, panujący nad całą okolicą.

Wszyscy obecni przybrani różnobarwnie, uroczystą mieli postać.

Skwar był w tym dniu okropny, pot kroplami spadał każdemu z czoła. Ludzie dusili się jak ryby wyrzucone z wody na piasek.

Oprócz pań którym podawano chłodzące napoje, w obec tłumów umierających z pragnienia, oprócz pań wszyscy woleliby raczéj ulewny deszcz nad tę uciążliwą pogodę.

Nakoniec po sześciogodzinnem oczekiwaniu, pierwszy pociąg ukazał się zdaleka. Ci którzy stali na pochyłości góry, sami jedni zdołali go dopatrzyć.

„Idzie już... idzie! zabrzmiało tysiące głosów z góry.

„Idzie, Idzie! powtórzyło tysiące głosów na dolinie. Okrzyk przebiegał z ust do ust — rozlegając się po skałach.

Potem wszystko umilkło — grobowa cisza nastąpiła po wrzawie.

W tem posłyszano świst, przeraźliwy świst, jaki nigdy niepotrącił ucha zebranych. Było to daleko— daleko — każdy jednak słuchał ze drżeniem.

Nagle turkot głuchy, straszny, zatętnił pod ziemią... lokotmotywa wpadła w wielki tunel Erzchwiller... toczyła się, toczyła długo, jak w piekielnéj otchłani, ziemia drżała, Wszyscy czekali w trwodze.

(dokończenie nastąpi).

TYGODNIK

MÓD

Nro 194

ROK 1867.

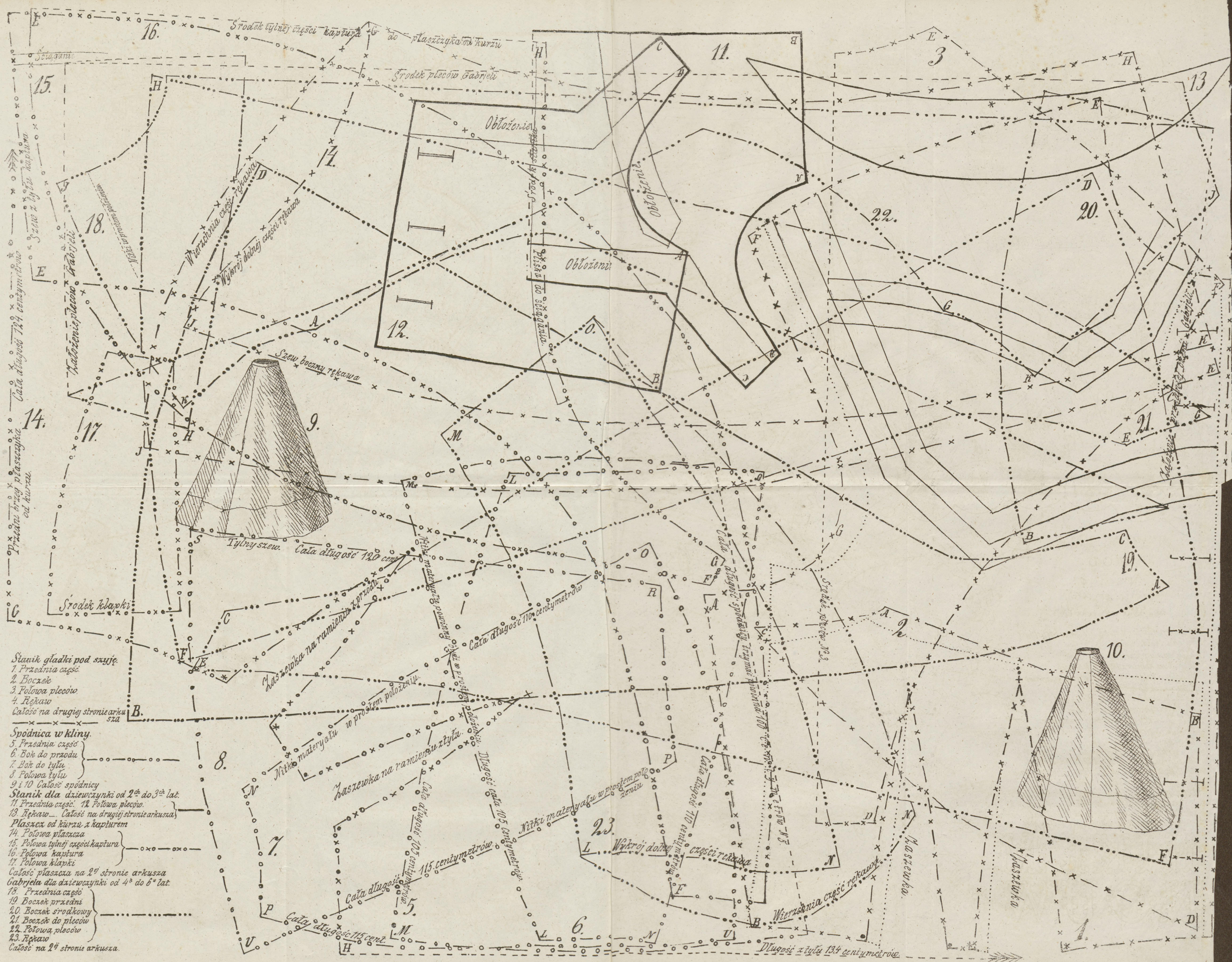
w Warszawie

1. Deseń na poszewkę, albo na batystową chustkę do nosa.
2. Deseń na poszewkę.
3. Połowa kołnierzyka. 4. Mankiet.
5. Połowa kołnierzyka. 6. Deseń na mankiet
7. Narożnik do kołnierzyka.
8. i 9. Desenie na białe spódniczki.
10. Narożnik do chustki od nosa.
11. 12. 13. Litery do znaczenia chustek.
14. 15. 16. 17. Desenie na falbanki i do rozmaitego użytku.
18. Stanik pod szyję ubrany aksamitem. (:Forma na drugiej stronie arkusza od № 1º do № 4º.:)
19. Stanik ubrany w kształcie naszyjnika
20. Płaszcz podróżny od kurzu. (:Forma na drugiej stronie arkusza od № 14 do № 17.:)
21. Gabrjela dla dziewczynki od 4ch do 6u lat. (:Forma na drugiej stronie arkusza od № 18 do № 23.:)
22. Stanik dla dziewczynki od 2h do 3h lat. (:Forma na drugiej stronie arkusza od № 11. do № 13.

H I K L M

N O U W




Stanik gładki pod szyję.
1. Przednia część.
2. Boczek
3. Połowa pleców.
4. Rękaw
Całość na drugiej stronie arkusza
Spódnica w kliny.
5. Przednia część
6. Bok do przodu
7. Bok do tyłu
8. Połowa tyłu
9 i 10 Całość spódnicy
Stanik dla dziewczynki od 2ch do 3ch lat.
11. Przednia część. 12 Połowa pleców.
13. Rękaw — Całość na drugiej stronie arkusza
Płaszcz od kurzu z kapturem
14. Połowa płaszcza
15. Połowa tylnej części kaptura
16. Połowa kaptura
17. Połowa klapki
Całość płaszcza na 2ej stronie arkusza
Gabrjela dla dziewczynki od 4h do 6u lat.
18. Przednia część
19. Boczek przedni
20. Boczek środkowy
21. Boczek do pleców
22. Połowa pleców
23. Rękaw
Całość na 2ej stronie arkusza.
Środek tylnej części kaptura do płaszczyka od kurzu
Środek pleców Gabrjeli
Obłożenie
Szew boczny rękawa
Tylny szew.
Cała długość 120 cent.
Środek klapki
Zaszewka na ramieniu z przodu
Zaszewka na ramieniu z tyłu
Cała długość 110 centymetrów
Cała długość 115 centymetrów
Cała długość 115 cent.
Wykrój dolnej części rękawa
Wierzchnia część rękawa
Długość z tyłu 134 centymetrów
Zaszewka